Bartek Pawłowski cytuje Charlesa Baudelaire'a à propos Mundialu 2018

Bartek Pawłowski: *Igrzyska jakieś nastały, mecze. Warto zatem przypomnieć piękny tekst Baudelaire'a. Ja się piłką nożną ostatnio interesowałem dawno temu. Nie wiem czy nie wtedy, gdy Polska z Litwą w jednej drużynie grały mecz z Krzyżakiem. Grał też wtedy z "nami" Jan Žižka i za jego pamięć wznoszę holbę pysznego piwka. Oraz za starych kuglarzy... ;)*

A holba to po czesku:

1. nádoba na pití s uchem a víkem

"*Dovnitř se podívat nebylo možná, bylo tam nabito; sama Kristla, když nesla pivo ven do sadu, kde páni seděli, holby nad hlavou nést musela, aby jí je nevyrazili*."

2. stará jednotka objemu

A teraz do rzeczy:

Charles Baudelaire: "Paryski spleen", XIV. Stary kuglarz

Wszędzie roił się, kłębił i szalał odświętny tłum. Była to jedna z tych uroczystości, których wyczekują kuglarze, akrobaci, treserzy i wędrowni kramarze, licząc, że wynagrodzą im martwy sezon.

W takie dni zdaje się, że lud zapomniał o wszystkim, o bólu i o pracy; upodobnia się wtedy do dzieci. Dla najmłodszych jest to dzień wakacji, szkolna tortura odroczona na dwadzieścia cztery godziny. Dla starszych - rozejm zawarty z ciemnymi siłami życia, wytchnienie od powszechnej walki.

Nawet światowcy i ludzie oddani sprawom ducha nie potrafią na ogół oprzeć się wpływom ludowej jubilacji. Mimowolnie wdychają coś z tej beztroskiej atmosfery. A ja, jako prawdziwy paryżanin, w te uroczyste dni nigdy nie omieszkam dokonać przeglądu wszystkich wznoszących się dumnie bud.

Te konkurowały ze sobą zaiste nieubłaganie: piszczały, ryczały, wyły. W zgiełku mieszały się krzyki, huk trąb i wybuchy rac. Błazny i arlekiny konwulsyjnie wykrzykiwały, twarze ogorzałe wiatrem, deszczem i słońcem; ze

spokojem aktorów pewnych zamierzonego efektu sypały żartami i konceptami, których zdrowy i ciężki komizm przypominał dowcip Moliera. Herkulesy, dumne z kolosalnych kończyn, bez czół i czaszek, jak orangutany, majestatycznie obnosiły wyprane w przeddzień na tę okazję trykoty. Tancerki, piękne jak wróżki albo królewny, skakały i wirowały w blasku latarń obsypujących iskrami ich spódniczki.

Wszystko było jedynie światłem, kurzem, krzykiem, radością, zamieszaniem; ci wydawali, tamci zarabiali, i ci, i tamci tak samo weseli. Dzieci wieszały się matczynych spódnic, żeby dostać laskę cukru, albo wchodziły na ojcowskie plecy, żeby lepiej widzieć olśniewającego jak bóstwo magika. A wszędzie rozpływała się, zabijając wszystkie inne zapachy, woń smażonych ryb, która była kadzidłem tego święta.

Na końcu, na samiutkim końcu alei bud ujrzałem biednego kuglarza; jakby uciekłszy w zawstydzeniu od wszystkich tych wspaniałości, zgarbiony, zgrzybiały, niedołężny, istna ruina człowieka, stał oparty o słup swojej szopy; szopy nędzniejszej niż chata najbardziej prymitywnego dzikusa, której ubóstwo oświetlały aż nazbyt dobrze dwa kapiące i kopcące ogarki.

Wszędzie radość, zarobek, rozpasanie; wszędzie pewność jutrzejszego chleba, wszędzie gwałtowne, szalejące życie. Tutaj absolutna nędza, na domiar ohydy, nędza wystrojona w błazeńskie łachmany, których kontrasty podyktowała nie sztuka, lecz potrzeba. On się nie śmiał, ten nędzarz! Nie płakał, nie tańczył, ni gestykulował, nie nawoływał; nie śpiewał żadnej piosenki, ani wesołej, ani żałosnej, o nic nie prosił. Stał niemy i nieruchomy. Już zrezygnował, już abdykował. Jego los się dopełnił.

Ale jakim głębokim, zapadającym w pamięć spojrzeniem obiegał tłum i światła, których ruchoma fala zatrzymywała się o kilka kroków od jego odpychającej nędzy! Poczułem, jak straszna dłoń histerii ściska mnie za gardło, i wydało mi się, że oporne łzy, te co nie chcą spływać, przesłoniły mój wzrok.

Co robić? Po co pytać tego nieszczęśnika, jakie dziwy, jakie cuda pokazuje w cuchnących ciemnościach za postrzępioną zasłoną? Mówiąc prawdę, nie miałem odwagi, i choćby przyczyna mojej nieśmiałości miała być dla was śmieszna, wyznam, że bałem się go upokorzyć. W końcu, kiedy już zdecydowałem się położyć mimochodem kilka monet na brzegu sceny, w nadziei, że odgadnie moje intencje, oddalił mnie od niego nagły odpływ tłumu wywołany jakimś zamieszaniem. Odchodząc, prześladowany wciąż tym widokiem, próbowałem zanalizować mój niespodziewany ból i pomyślałem: widziałem oto wyobrażenie starego pisarza, co przeżył pokolenie, które bawił i olśniewał; starego poety bez przyjaciół, bez rodziny, bez potomstwa, poniżonego przez swoją nędzę i ludzką niewdzięczność, do którego zapomnianej budy publiczność już nawet nie zagląda!